

Wielka płyta w ogniu

Sakroanarchiści. Religijne punki, bezkompromisowi eksperymentatorzy, pionierzy nowego świata. Twórcy komun, charyzmatycy, szaleńcy, dziwacy, kuglarze i prawdziwi duchowi przewodnicy. A także ich szeregowi żołnierze, zaludniający osady wznoszone w karczowanej tajdze. Mężczyźni z przeforsowanym kręgosłupem, kobiety o stwardniałych suchych rękach i gorących, rozłomotanych sercach. Ludzie o postrzępionych, wielkich duszach, rozdętych wiatrem słodkiej niebiańskiej mowy. Nadzy, wyzuci z majątku, zawierający Bogu i bliźnim, każdego dnia maglowani, krochmaleni, wyprani z indywidualnych żądz.

Nieoficki zapał potrzebuje paliwa, ognia, którego nie potrafią dostarczyć ociążałe kościoły, obrosnięte infrastrukturą i siecią kompromisów. Może i dostarczają zresztą, niektórzy odnajdują przykościelną komunę, docierają do osad, miejsc, wysp, płacących lenno, tolerowanych przez Watykan, przez Moskwę, a jednak niezwykłych, niepodobnych do naszego świata. Nie wszyscy jednak mają tyle szczęścia. Nie wszystkim ta oferta wystarcza. Gdy wrócimy z księdzem Szyjką do monasteru, kleryk Oleg opowie nam o pewnej kobiecie, silnie zaangażowanej w życie parafii katolickiej, tej właśnie parafii, tutaj, w Krasnojarsku. Sprzedała wszystko i wyjechała do wissarionowców.

Tak, wissarionowcy. Po raz kolejny oni. Uczniowie Siergieja Toropa, zapatrzeni w Chrystusowe oblicze ze zdjęcia, wpici oczami w podretuszowane portrety byłego milicjanta o pięknych, miękkich włosach. Od tej sekty nie uciekniesz. Skomercjalizowane, obrócone w disneyland królestwo przypomina o swej dawnej świetności. Powraca ciągle, przyciąga cię, zmusza do kolejnych wspomnień, porównań. Choćbyś próbował się odbić. Choćbyś próbował – jak teraz – udowodnić, że to, co wydawało się tak wyjątkowe, wyczarowane przez tajgę i charyzmę milicjanta, jest częstsze, tkwi w każdym z nas, jest tuż obok.

A działają przecież podobne ruchy w ramach samego prawosławia. Ot, weźmy choćby na przykład popa, co poszedł z wiernymi w tajgę. Spokrewniony jest z hierarchią, tolerują go więc, Moskwa przyzwala na jego anarchistyczne wybryki.

Albo klasztor na północny zachód od Krasnojarska. Ludzie ciągną tam potężnie, idą z powagą, oddają wszystko i znikają za muraim na zawsze. Klasztor niezwykły, rzecz kontrowersyjna, ale ciekawa, arcyciekawa – powie katolicki ksiądz Andrzej Duklewski, przybyły z Tomka.

Nie jedziemy jednak na północ, nie łomoczemy w klasztorne wrota. Nie wciskamy się do obłoczonego bobika czy ogrzewanego węglem kraza, nie maszerujemy w tajgę w poszukiwaniu skitów, pustelni. Mimo to szukamy w Krasnojarsku tego samego ognia. Poszukujemy go w miejscach mniej barwnych – nie w Buriacji, nie w stępa nie u szamanów. Nie w tundrze, nie u starowierców, a w kompaktowych blokach, w codzienności przemysłowych miast. W obłożonych plastikowymi panelami mieszkaniach, w nudnych salkach katechetycznych, w klubach protestanckich, w gabinetach urzędniczych i uniwersyteckich.

W Katedrze Religioznawstwa Uniwersytetu Pedagogicz na przykład. Tam, gdzie miejscowi studenci, by zdobyć zaliczenie muszą się zaprzyjaźnić z wybraną grupą religijną, muszą w nią wejść. Opowiadają nam teraz o katolikach, którzy jeżdżą spowiadać się w Moskwie, trzy dni pociągami, byle nie odsłaniać się przed miejscowym księdzem. Ludmiła Iljiczna Georgiewna mówi zaś o antykatolickim *krestnym chodzie*, który miał się odbyć w 2002 roku. Zginął jednak wtedy Lebedź i w związku z tą tragedią wszystko rozeszło się po kościach.

– Ten *krestny chód* to wyjątek. Owo zaognienie było dla Krasnojarska nietypowe – zastrzega szefowa katedry. I dodaje: – A proboszcz Antoni to prawdziwy ekumenista. Człowiek otwarty na wszystkich, wychodzi z gitarą i już. On tu sobie zawsze poradzi.

Syberia urzeka swą mozaiką, pledem uplecionym z sekt, denominacji, kościołów, tkaniną, w której trudno już rozplatać nici wyznaniowe, oddzielić je od tych, budujących tożsamość narodową. Może jednak właśnie tu jest to możliwe? Może tu łatwiej to uczynić niż w Polsce? Może prościej odseparować owe składniki w miejscu oddalonym od Moskwy i Europy, w sobnym i pełnym przestrzeni zarazem, w świecie, w którym naderwano, choć nie przzerwano, ciągłość pokoleniową, zakłócono ją jednak na tyle skutecznie, że poszukiwania duchowe, neoficki zapał, wzrusza i zwątpienia śledzić można wśród dorosłych wiemych, refleksyjnych już, świadomych swoich ułomności i kruchości świata.

Rozprawiamy tak, siedzimy w „Ogniach Jeniseju”, w naszym tanim hotelu z prysznicem za 50 rubli (oferowanym przez pion santechniki dwa piętra wyżej), siedzimy w wyłożonym tapetą pokoiku, kran puszcza wodę do wielkiej umywalki przyzdobionej pajęczyną pęknięć. Z grubych kaloryferów, ulepionych jakby z pierogowego ciasta bucha ciepło. Na parapecie za oknem mrozą się i obrastają fabrycznym pyłem smakowite ryby, zakupione w ekskluzywnych delikatesach. My zaś mówimy dalej. Mnożymy pytania.

Czy przeżycie religijne w Kościołach jest rzeczywiście słabsze niż w sektach, grupach niezinstytucjonalizowanych? A może „sekcjarze” znajdują się w pierwszej fazie, która w Kościele przeżywana jest często w dzieciństwie? Na pewno sekty zachęcają do intensyfikacji przeżyć religijnych, do poławiania i odczytywania znaków. Później zaś monopolizują interpretację przynajmniej części z nich.

Instytucjonalizacja ogranicza spektrum dopuszczalnych znaków – to nie ulega wątpliwości. Ma ukonstytuowaną teologicznie sferę symboliczną, zawęza drogę dla odmienców. Nie zawsze jednak, nie we wszystkich Kościołach jednakowo. W Cerkwi prawosławnej furka dla nich zdaje się być uchylona. O czym to świadczy? O większej tolerancji? A może słabości i tłumaczonej nią mniejszej totalności instytucji?

Może jednakże zbyt słabo dostrzegamy zbiory wspólne, charakterystyczne dla wszystkich ruchów? Takie jak płacz, katharsis, przełom. „Zyjemy w bajce”, „bywam w bajce”, powiadali wissarionowcy, próbując opisać inny poziom świadomości, inny wymiar, w którym się znaleźli. Czyż jednak miejscowi katolicy, protestanci i prawosławni nie mówią o tym samym? Czyż nie zmagają się z tym

samym, czy nie czują tego samego bólu i strachu, widząc, co tracą, gdy wyrzekają się dotychczasowego życia, dystansują do świeckiego, laickiego świata? Dlaczego jesteśmy bardziej bierni i mniej skuteczni od ludzi niereligijnych? – pytała poważnie Chiara Lubich, założycielka Focolare, awangardowego, jednego z ciekawszych nurtów współczesnego Kościoła rzymskokatolickiego. Dychotomia, podział na życie stare i nowe, pojawia się w rozmowach często - nieraz jeszcze go odnajdziemy, nieraz wzbudzi emocje. Najsilniejszy będzie zapewne u wissarionowców, a także u zielonoświątkowców i innych charyzmatyków. Pojawi się jednak i w innych nurtach.

Owe narracje-świadczenia zawsze są kanonizowane przez ośrodki władzy symbolicznej (OWS), przez Kościoły. OWS bywają jednak różnorodne, w różny więc sposób cenzurują wypowiedzi wiernych, różnie bronią swych symbolicznych konstrukcji...

Za oknem rozbłyskają pierwsze neony. Kabiny marszrutek straszą zimnym światłem. Gasną fabryczne lampy, zapalają się zaś klosze i żyrandole w pobliskich blokach. Za rzeką spada słońce. Jenisej płonie.